Założenie teczki A. Rej. 2002 r.

FUNDACJA GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ
OKRĘG POMORZE
1939 1945
AK

...dia 20-041

AK
Brześć

FILEMONOWICZ Helena
z d. Sztorc
II v. Zychowicz
ps. „Czyżyk"

3319/WSK

T:3319/WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — FILEMONOWICZ Helena

z d. SZTORC

ps. „Czyżyk"

I. Materiały dokumentacyjne

I/1 – relacja właściwa ✓

I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora —

I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora —

II. Materiały uzupełnieniające relację —

III. Inne materiały (zebrane przez „relatora"):

III/1– dot. rodziny relatora —

III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939 –1945) —

III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 – inne... —

IV. Korespondencja —

.....

.....

.....

.....

V. Wypisy ze źródeł [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne"] ✓

VI. Fotografie —

FUNDACJA GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ OKRĘG POMORZE 1939 1945 AK

I/1 Relacja właściwa

FUNDACJA GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ
OKRĘG POMORZE
1939 1945
AK

Helena Filamonowicz ps"Czyżyk"
Obecnie Zychowicz
nazw.panieńskie Szterc c.Kazimierza
i Stanisławy z Traczów
zam. 20-041 Lublin, ul.Łopacińskiego
5 m.57

Moja działalność w podziemiu z okresu okupacji datuje się od rozpoczęcia drugiej wojny światowej 2939 r. Miałam wówczas 19 lat. Koniec września - Warszawa skapitulowała. Bohaterski żołnierz polski, gotów do walki w obronie ojczyzny, został pozostawiony sam sobie. Miota się, szarpie, szuka dawódców, czeka rozkazów, ale nie znajdując tego - głodny, zmęczony z ranami na pokaleczonych nogach, od ciężkich podkutych gwoździami butów, szuka wsparcia i wolnej ścieżki do domu. Wychowana w miłości do ojczyzny z wpojonym~~m~~patriotyzmem przelanym z historii o Polsce, nie mogłam ja, ani moja matka patrzeć obojętnie na wydarzenia drugiej wojny, które już w pierwszych dniach były straszliwym ciosem dla całej armii i narodu polskiego.
Dlatego los polskiego żołnierza odczuwaliśmy jak swój własny, co skłaniało nas do ~~z~~niesienia jaknajdalej idącej pomocy, której mogli spodziewać się od swoich rodaków. Wielu takich rozbitków, czasem po 7 - 9 osób dziennie znajdowało u nas schronienie, ciepły posiłek w postaci kartoflanki z chlebem, którego nam nie brakowało /ojciec był piekarzem/ coś do przebrania się w cywilne ubranie i nocleg pokotem na podłodze pościelonej cienko słomą.

Już w tym okresie tj. październik-listopad 1939 r. organizacją pomocy polskim żołnierzom zajęła się Pani Zofia Suszyńska /wdowa po polskim pułkowniku/ - ona dom nasz obrała na kwaterę, do której znoszono zebrane rzeczy jak ubrania, odzież, obuwie itp.
W zbiórce tej chętnie udział brali: pp.Janina Poznańska, Irena Zarębska, Helena Szczukowa, małżeństwo Bąbolewie, małżeństwo doktorowie Paszkiewiczowie i Nowińscy, inż.Iwaszkiewicz, Ryszard Zwierzyna, Anna Olszewska, Zofia Stefańska i wiele innych których nazwisk nie pamiętam.
Współpraca w/w osób tworzyła coś w rodzaju tajnego komitetu pomocy. Oddawane - pozostawione przez żołnierzy za odzież cywilną wojskowe buty, mundury, czapki, pasy, broń długą oraz i krótką oraz granaty składaliśmy do wielkiego kosza-kufra, z którego w nocy wynosiliśmy do dołu wykopanego w komórce stojącej przy kilkusakamarkowej ubikacji.

Dół był wyłożony papą smołowaną a sklepienie wykonane z podkładów kolejowych. Początkowo naszym celem było przechowywanie tych rzeczy i zwrot ojczyźnie wyzwolonej przez Anglię i Francję, na co wówczas wszyscy czekaliśmy. Nadzieje takiego wyzwolenia okazały się tylko złudzeniami. W dniu 13 listopada 1939 r. wojska sowieckie zamknęły granicę na Bugu, a w pozostałej części Polski ugruntowały swoją władzę wojska niemieckie, co było powodem, ograniczającym bardzo poważnie dotychczasowy ruch ludności. Od tej chwili rozpoczęły się częste aresztowania, przesłuchiwania ludzi w porze nocnej przez NKWD i wywożenie na Syberię. Aresztowania dotyczyły także młodzieży szkolnej zrzeszonej w organizacjach ZHP oraz Żywa-Torpeda. Wprowadzanie swoich metod panowanie na terenach zajętych tak przez wojska sowieckie jak też niemieckie, były powodem że dotychczasowi żołnierze nie mając możliwości powrotu do swoich rodzin za Bug ani w głąb Polski, gromadzili się po lasach, co było częściowym powodem tworzenia się oddziałów partyzanckich.
Na przełomie 1940-1941 po otrzymaniu adresów od wielu osób wywiezionych zaczyna się intensywna praca w postaci wysyłania paczek żywnościowych oraz z odzieżą / z którymi ja miałam do czynienia ze względu na mój charakter pracy w sklepie "Gławniastozbyt". Ponieważ sprzedaż wędlin i tłuszczu była ograniczona do 40 dkg na jedną osobę, akcja tej pomocy w postaci szykowania i wynoszenia kilkukilogramowych paczek dziennie, lub sprzedaży tych ilości osobom wysyłającym była ryzykiem nietylko utraty pracy ale i wolności. Wiosna 1941 r. przyniosła wiele zmian w moim życiu. 27 kwietnia odbył się mój ślub z Gerardem Filemonowiczem absolwentem Szkoły Nauk Politycznych w Warszawie. W nocy z 21 na 22 czerwca tego roku, po krótkiej walce zbrojnej i powietrznej, wojska sowieckie wycofały się a miasto Brześć n/Bugiem w ciągu paru godzin zostało zajęte przez Niemców. Pozostaliśmy wszyscy bez pracy. Mąż mój dostał posadę w Urzędzie Wojewódzkim w Brześciu.
Jesienią tego roku przyjął administrację majątku będącego własnością żony majora WP pani Julii Cendro w Oziatach.
Początkowo mieszkaliśmy w gminie, gdzie stałe kontakty mieli wójt gminy Oziaty bardzo wysoki, przystojny starszy siwy pan /nazwiska nie pamiętam/. Komendant miejscowego posterunku Dzikowski oraz dojeżdżający pan Lasota /imion nie pamiętam/. Bałam się wspólnych spotkań tych panów, które w tajemnicy odbywały się w naszym mieszkaniu.

Chciałam jaknajmniej wiedzieć, z czego i oni również byli zadowoleni. Wieś Oziaty były położona około 40 km. od Brześcia w kierunku na Kobryń. Mając do dyspozycji konie z majątku około 1 raz w miesiącu przyjeżdżałam do swego mieszkania do Brześcia. Późna jesień i zima 1941 na 42 r. nie pozwoliła mi nocować w swoim mieszkaniu, w którym było bardzo zimno, więc zatrzymywałam się u swojej matki Stanisławy Sztoro, zam. w Brześciu przy ul. Batorego 3 m.1. Będąc u matki spotykałam nieznajomych mi mężczyzn, a na moje pytanie kto to jest matka odpowiadała wymijająco, że: Pani Juszyńska przyprowadziła z polecenia pani Ostaniewicz i chwilowo mieszkają. Byli to ludzie młodzi, obyci i kulturalni. Matka moja była poza wszelkimi podejrzeniami przez wzgląd na wysoką wartość moralną i etyczną, a mnie bała się wówczas angażować w sprawy konspiracji z uwagi na mój odmienny stan.

W marcu czy też kwietniu 1942 r. będąc u siebie w mieszkaniu w Brześciu przy ul. Cichej 1 ktoś zapukał do mieszkania już po godzinie policyjnej. Okazało się, że była to moja matka w towarzystwie nieznajomego mężczyzny z poleceniem ukrycia go przez parę dni. Od niego dowiedzieliśmy się, że jest to tak zwany "ptaszek" Tak nazywano oficerów dywersji szkolonych w Anglii /za granicą nazywano ich cicho-ciemnymi/.

W rozmowie z tym panem dowiedzieliśmy się, że w końcu grudnia 41r. były zrzuty angielskie na teren Polski w okolicach Skierniewic. Zrzuty te podobno nie były udane /powodów nie znam/, ale najsmutniejsze było to, że paru skoczków zostało przez Niemców zabitych przy zwijaniu spadochronów. Część jednak zdołała ujść z życiem.

Na początku stycznia 1942 roku niemieckie władze okupacyjne zorganizowały komisję rolniczo-prawną, do której z racji pełnienia funkcji administracji majątku wyznaczony był mój mąż oraz wyżej wspomniani wójt gminy Oziaty i pan Lasota.

Komisja miała za zadanie dokonanie spisów ziemi oraz inwentarza żywego. W tym okresie dużą wartość przedstawiały konie.

Wiadomym mi jest, że w tym czasie najlepsze konie zostały przekazane do partyzantki.

Sprawami dostarczania dla partyzantów koni zajmował się wówczas pan Lasota. Z tego i innych powodów dowiedziałam się, że mój mąż jak również wójt i pan Lasota współpracowali z partyzantami p.s. "Maria Jurysta".

Z w.w. powodów była. stale niespokojna o męża, tymbardziej że w naszym mieszkaniu przechowywaliśmy również karabin. Ponieważ była to wieś i wszystko jak na dłoni, byłam tak podenerwowana, że nawet skrzypiący za oknem śnieg wzbudzał we mnie strach i atak histerycznego płaczu.

Z tych właśnie powodów, jak również z mojego w tym czasie odmiennego stanu udało mi się nakłonić męża do rezygnacji z pracy i w końcu marca przed Wielkanocą przenieśliśmy się z pracy ~~tymczasem mieszk~~ z powrotem do Brześcia. Mieszkanie mojej matki, która była już po zaprzysiężeniu i miała ps. "Ryba" - była kwaterą zarezerwowaną przez panią Suszyńską.

Do porozumienia się z moją matką musiało być użyte hasło :"czy jest ryba do sprzedania?" Kiedy podający hasło usłyszał odpowiedź potwierdzającą - oznaczało to, że trafił do właściwego miejsca uzyskując tym samym wstęp do mieszkania.

W rocznicę naszego ślubu 27 kwietnia 1942 r. Niemcy aresztowali mojego męża. Jak doszły nas wiadomości - w dniu tym były liczne aresztowania.

Było to dla mnie wielkim ciosem, gdyż w tym okresie byłam już w 7 - mym miesiącu ciąży. Mąż mój siedział w więzieniu na 1-szym piętrze. Ponieważ istniały nikłe możliwości ujrzenia go na moment przez uchylone okienko - całymi godzinami stereszałam pod więzieniem wyczekując tej chwili, jedną taką miałam przez 3 tygodnie.

Było to dla mnie wielką męczarnią. Walczyły we mnie wówczas dwie różne siły mego charakteru. Jedna uginała się pod ciężarem ciosu i wadarzeń, a druga hartowała wolę, zaciskała pięści, wzbudzała i utrwalała nienawiść do Niemców, dodając sił do walki z wrogiem, co było powodem, że w niedługim czasie oficialnie wstąpiłam do ruchu oporu. Z tego względu, że skład straży więziennej poza Niemcami wchodziło i paru Polaków /którzy należeli do AK/, przez jednego z nich wprowadzona zostałam nawet do celi mego męża. Było tam około 10 osób, wszyscy bladzi i wystraszeni. W chwilach takich nie wie się czy jest to szczęście czy rozpacz. W każdym wypadku jest faktem, że zapomina się o rzeczach najważniejszych. Były to chwile krótkie, ale do śmierci nie zapomniane.

Byłam wtedy bezsilna i nie miałam sposobu, aby męża stamtąd wydostać. Po 3 tygodniowym więzieniu w Brześciu został wywieziony do Równego, gdzie mieścił się sztab generalny S.D.

W czerwcu Mamusia moja jeździła do Równego, zawiozła bieliznę i żywność, lecz widzenia nie uzyskała. 12 lipca urodziłam córkę.

W połowie września z 2 mies.dzieckiem i matką udałyśmy się do

Równego. Po usilnych staraniach uzyskałam w biurze przepustek 10-cio minutowe widzenie pod obserwacją bardzo wielu gestapowców. Bali się, że w beciku coś mogę mieć. Mąż wyglądał strasznie. Bardzo chudy, twarz trupio żółta, siny i cuchnący stęchlizną. Oczy wystraszone i nie patrzące - rozbiegane. Nie mogliśmy do siebie nic powiedzieć, gdyż niewypowiedziany ból zaciskał nasze krtanie, a tłumacz stał tuż przy mnie, jak również nawet nie widzieliśmy się dobrze, bo zbliżyć mogliśmy się tylko na odległość 1 metra, a łzy zalewały nam oczy. W głowie miałam szum i wrażenie, że ziemia kręci mi się pod nogami, dziecko mu pokazałam, ale zanim zdążyłam mężа przez łzy zobaczyć i chciałam zapytać jak jego zdrowie, już nas rozdzielono.

Przed wyjazdem z Brześcia dostałam adres do Równego do osób już pracujących w Z.W.Z.Z. "Wachlarz"
Od nich dostałam skierowanie do adwokata, który miał wśród Niemców rozległe stosunki i wiele pomagał Polakom.
Zostawiłam mu 14.000 karbowańców/w tym czasie obiegowe marsta/, a było to wszystko co miałam. Pieniądze te miały służyć do załatwienia sprawy z Niemcami przy bufecie.
Nadziei wielkich nie obiecywał, ale był to uczciwy i rzetelny Polak i całym sercem oddany konspiracji na tamtych terenach. Po rozmowie z nim odjechałam z Równego z jakąś wiarą w lepszą przyszłość. Adwokat poradził mi, abym pojechała do domu, zgromadziła trochę pieniędzy i następnym razem przywiozła nowe buty i płaszcz i coś na głowę.
Liczył się z ewentualną ucieczką więźnia za opłaconym brakiem czujności ze strony Niemców.
Wróciłam do domu. Spieniężyłam urządzenie mieszkania jak: stół, krzesła, szafę oraz wiele innych rzeczy i w dniu 28 października 1942 roku byłam już w Równem, obdarzona dzieckiem w becie i pieluchami, w/w gardrobą męża, żywnością, oraz 10 kg soli dla Państwa Gontarzów, którą wiozłam w podzięce za to, że będąc w Równem mogłam się u nich zatrzymać. Żadnego wynagrodzenia za to nie chcieli, a w Równem występował ogólny brak soli. Z niewiadomych mi przyczyn w tym dniu pociąg zatrzymał się w odległości 6 km. przed miastem, co spowodowało konieczność przebycia tych 6 km. piechotą. Do państwa Gontarzów przybyłam dopiero na godz. 2-gą w nocy.

Z powodu ciężaru jaki dźwigałam ze sobą żyły na rękach wystąpiły mi jak sznury. W czasie mojej nieobecności w Równem do państwa Gontarzów został doręczony przez plebana list od mojego męża na świstku papieru oderwanym z worka, w którym błagalnymi słowami prosił powtarzając kilkakrotnie chleba,chleba... Żona jak przyjedzie za-płaci ze wszystko. Po paru godzinach snu udałam się do adwokata, który przyjął mnie z zadowoleniem. Dowiedziałam się, że sprawa mojego męża jest na dobrej drodze, że udało się spowodować wysłanie męża wraz z innymi więźniami na roboty do osady Krechowieckiej oddalonej 18 km od Równego. Przydzielenie go do robót przy budowie baraków w os. Krechowieckim wiązało się z nadzieją i przygotowaniem do ucieczki.

Pieniędzy żadnych adwokat nie chciał twierdząc, że jeszcze tamtych nie wydał.

Około 7-oo rano 28 października 42r. wraz z panem Gontarzem piechotą wyszliśmy do w/w osady. Pan Gontarz niósł plecak z zawartością odzieży i żywności oraz teczkę, a ja z dzieckiem na ręku w becie. Był to dzień zimny i przez cały czas utrzymywała się mżawka drobnego deszczu. Było południe w odległości ok.200 mtr. przed osadą Krechowiecką mijało nas kilka samochodów niemieckich, na co zwrócił uwagę pan Gontarz, twierdząc że jak będziemy wracać to nie będzie żadnego żeby nas podwiózł.

Niemal w tym momencie usłyszałam mocne stukanie w szybę od wewnątrz w jednym samochodzie ciężarowym w osobie stukającego poznałam swojego męża.

Był bardzo zmieniony, ale poznałam go po niebieskiej koszuli. Wyglądał na bardzo zrozpaczonego i rozpaczliwie dawał mi znaki rękami, tyk wykonując ruchy od piersi w przód, co miało oznaczać, że wywożą go spowrotem do Równego. Zaczęłam w tej chwili biec za tym samochodem, chyba mój ubłagał kierowcę, bo po ujechaniu ok.100 mtr obudowany wóz zatrzymał się. Miałam nadzieję, że może dobiegnę i podam mu paczkę z chlebem. W tym samym czasie jadący parę mtr z tyłu samochód polowy z 4 gestapowcami również się zatrzymał. Wyszło z niego 2 Niemców. Jeden z nich otworzył od strony kierowcy drzwi w/w samochodu, zapewne miała miejsce jakaś rozmowa, za moment zatrzasnął je. Po tym natychmiast obydwa samochody odjechały.

Zawróciliśmy spowrotem do osady Krechowieckiej. Stał tam biało wymalowany murowany budynek, w którym Niemcy mieszkali czy też urzędowali.

Poprosiłam wartownika, aby mnie wpuszczono do środka. Wartownik natychmiast zatelefonował i po tym dał mi znać abym weszła.

W biurze tym poznałam 2 gestapowców, których widziałam w więzieniu w Równem. Zapytałam ich o swojego męża, dlaczego wywieziono go do Równego. Jeden z nich zaczął sobie ze mnie żartować, że młoda mężatka stęskniła się za mężem, a drugi powiedział mi, że pojechali do Równego po materiały budowlane. Słowa jego trochę mnie podbudowały. Uwierzyłam w to, że tak mogło być. Pełna nadziei, że mąż niedługo wróci postanowiłam w pobliżu poczekać.
Usiadłam po przeciwnej stronie szosy na pagórku, na ściętym pniaku i wyczekiwałam do zmroku. Dziecko karmiłam piersią i pieluszki suszyłam na piersiach. Żaden samochód nie wrócił do osady. Pan Gontarz poszedł na kolonię do gospodarzy dowiedzieć się o nocleg.
Mieszkańcy byli tak wystraszeni, że nawet rozmawiać bali się.
Szarzało na dworze. Zmęczona, zmarźnięta z 3,5 miesięczną dzieciną, a przede wszystkim przejęta śmiertelnym strachem o los męża poszłam ponownie do biura obozowego, oczywiście z wielkimi trudnościami, jakie robili wartownicy przy bramie wejściowej, wpuszczono mnie. W sercu tliła się maleńka iskierka nadziei, może jakąś inną bramą przyjechał, może przeoczyłam wjazd jakiegoś samochodu - kiedy opuściłam miejsce oczekiwania na pagórku, aby opłukać w rowie z wodą pieluchy. Ale w gestapo zgaszono tą nikłą nadzieję moją. Nie wrócił. Nawet rozmawiać nie mieli ochoty ze mną. Dziecko straszliwie płakało. Zezwolenie na nocleg wydano nam.
W jednym z mieszkań użyczono coś gorącego do zjedzenia oraz dziecinne łóżeczko wiklinowe, gdzie ułożyłam dziecko i skulona na pół drzemiąc przemęczyłam się do rana. Następnego dnia rano o godz.9,oo było czynne biuro. Dowiedziałam się od Niemców, że mąż mój został wywieziony do Równego i tutaj już nie wróci. ~~xx~~ Pozostało mi tylko wrócić tam skąd w ciężkim trudzie przyszłam. I tak też zrobiliśmy. Do Równego dobrnęłam znów piechotą na godz.14,oo. Płaczące dziecko zostawiłam u pani Gontarzowej, chwyciłam koszyk z bielizną, trochę żywności i pobiegłam do gestapo. Przed wejściem ujrzałam stojące samochody ciężarowe na ulicy i wyskakujących młodych prawdopodobnie ukraińców będących w armii niemieckiej. Byli spoceni, czerwoni na twarzach. Karabiny na plecach, a buty wysokie i cholewami oblepione gliną i białym wapnem. Serce szarpnął niepokój.
Boże skąd wracają? Ale odpowiedź nie chciała dotrzeć do umęczonej głowy, ani świadomości mojej.

W biurze przepustek zwróciłam się do dolmeczera o zezwolenie na doręczenie paczki. Za późno pani przyszła powiedział. Myślałam, że ma na uwadze godz.15-tą, do której wolno doręczać paczki. Jest godzina 1440, więc jeszcze mam 20 minut czasu odpowiedziałam. A ja pani mówię, że za późno pani przyszła. Nie dopuszczałam tego najstraszniejszego do siebie, błagałam o zezwolenie, a on z ironicznym uśmiechem wypisał mi je. Więzienie było w odległości ok.250 mtr. Otoczone trzema ogrodzeniami i dwoma zamkniętymi bramami. Dyżurny wartownik przyjął ode mnie koszyk z przepustką,a ja wyraziłam głośną zdziwienie dlaczego jest tak wiele ludzi przed więzieniem. Ktoś ze złością powiedział mi. To pani nie wie, że dwie godziny temu wywieźli 200 osób na rozstrzelanie ?

Odebrało mi to głos i świadomość, ale jak pięść silny i twardy głos zapytał co ja tu robię pod bramą. Przede mną stał komendant więzienia. Znałam go z poprzedniego pobytu we wrześniu w Równem. Przyniosłam bieliznę i chleb dla męża odpowiedziałam. Męża pani tutaj nie ma ! A gdzie jest spytałam. Wywieziony został do osady Krechowieckiej Był tam, ale wczoraj przywieziono go z powrotem do Równego. Dzisiaj odesłaliśmy go tam - twierdzi ezwab. Nieprawda mówię. Godzinę temu jak wróciłam piechotą z Krechowic, parę mijających mnie samochodów zatrzymywałam po drodze, lecz nie było w nich męża, to ja nie wiem gdzie jest. U nas go nie ma, odpowiedział twardo, odwrócił się i poszedł wgłąb więzienia. Za chwilę wrócił żołnierz z nienaruszonym koszykiem i kręcąc głową rozkładał ręce. Dopiero wtedy zrozumiałam co znaczyły samochody ubłocone z kołami po osie w wapnie, czerwoni żołnierze z karabinami i słowa tłumacza - za późno pani przyszła. Syn Gontarzów 12 letni Stasio, którego matka wysłała ze mną przyprowadził mnie do mieszkania. Następnego dnia tj.30.X 42. tłumacz gestapo oddał mi szalik, zegarek kieszonkowy męża, kalenderzyk z notesikiem, małe wieczne pióro /tak się to wówczas mówiło/ i ołówek w marmurkowej oprawie i około 200 karbowańców, a przypieczętował to wszystko słowami. "Wczoraj został rozstrzelany".

A więc, to był już koniec. Dostałam jakiegoś ataku, wyzywałam ich od morderców, oprawców, bandytów. Tłumacz coś do mnie mówił, radził abym wyszła, ale mnie było już wszystko jedno. Zrozpaczona krzyczałam: zamordowaliście ojca,możecie to samo zrobić ze mną i dzieckiem.

Z sąsiedniego pokoju wyszło 2 Niemców, zwabieni krzykiem i płaczem. Jakiś krótki niemiecki szwarget i z za bariery wyszedł tłumacz. Ujął mnie silnie pod pachę i ze słowami - ja pani radzę wyjść stąd, bo będzie źle. Ma pani dziecko i trzeba dla niego żyć, wyprowadził mnie z biura. W korytarzu czekał znowu na mnie syn Gontarzów, który zaprowadził mnie do domu.

31.X 42r. będąc u adwokata otrzymałam zwrot wszystkich pieniędzy. Był zdumiony tym co zaszło. Twierdził, że zmieniły się władze niemieckie w gestapo. Ci co byli pojechali na front, a następcy dokonali dzieła.

W dzień wszystkich świętych 1-go listopada byliśmy z Gontarzami u jej rodziny. Pięć sióstr pani Marii pracowało z mężami w cukrowni, która była na terenie wojskowym w tzw.Białej. Na tym to terenie odbywały się egzekucje, w odpowiedniej odległości od budynku cukrowni.

Parę dni wcześniej jeńcy sowieccy kopali doły. Krytycznego dnia 29.X około godz.13,oo tyłem wjechały 4 samochody ciężarowe pod trzyściankowe z dachem szopy. Niemcy wyganiali z nich nagich ludzi, wpędzali do dołów, strzelali z tyłu do nich, a ci wyścielali sobą doły. Ktoś oderwał się i uciekał w stronę cukrowni. Strzelano do niego, upadł, poderwał się i biegł dalej, ponownie przewrócił się, aby już nie wstać bo nadbiegający wartownik dobił go sztyletem. Jeńcy zasypywali rowy z ludźmi, najpierw wapnem, a potem ziemią. Nie bacząc czy ludzie ci żyją jeszcze czy nie, samochody wyrównały powierzchnię. Rodzina Gontarzowej z wieloma innymi osobami stała na rampie cukrowni i byli naocznymi świadkami tego ohydnego hitlerowskiego mordu, jaki miał miejsce 29.X 1942 r. w Równem. W kalendarzyku, który mi zwrócono po śmierci męża, od czerwca 42 były notatki np.Burza, wiatr, deszcz, później kilka krzyżyków i cyfry np. w czerwcu 120, w lipcu znów burza, wiatr, deszcz, krzyżyki i około 100. W sierpniu to samo i po krzyżykach cyfry 180. We wrześniu 200. W październiku przedostatni zapis - 13-tego osada Krechowiecka. Ostatni zapis 28.X 42 - coś się dzieje, nie wiemy jeszcze. Głodny jestem i inni też. Czekam ! może ? może ? Dla osób nie związanych i nie zamieszanych w tragedię wojenną być może w/w notatki byłyby trudne do odczytania. Ja zrozumiałam, że oznaczały one masowe egzekucje w tych dniach.

Np. Burza - oznaczała jakieś zamieszanie, ruch, przygotowanie.

Wiatr - to napędzanie z cel więziemia i wywożenie. Deszcz to łzy i kule Cyfry oznaczały ilość straconych więźniów w danym terminie. Głodni byli napewno wszyscy, a czekam i może to iskierka nadziei, że być może burza wiatr, deszcz ominą go. Stało się jednak inaczej.

W połowie listopada tego roku Niemcy masowo likwidowali żydów i getto Tej gehenny nie sposób opisać. Jeżeli wspomnę, że przechodząc około 200 mtr. od miejsca gdzie żydzi składali cały dorobek swego życia w postaci futer, odzieży i innych rzeczy - stos ten sięgał do wysokości piętra na całą szerokość ulicy łącznie z chodnikami. Stert takich w getcie było bardzo dużo. Po oddaniu przez żydów tych rzeczy pędzono ich na miejsce straceń. Gdzie to miejsce było nie wiem.
Nadmieniam tu także, że kiedy zostało utworzone getto, żydzi chcąc mieć na bieżąco wiadomości o swoim losie wspowodowali, aby najpiękniejsza młoda, wykształcona żydówka weszła w kontakty z gebietskomisarzem. Komendant przez pewien czas zatrudniał ją u siebie. Na czym polegała jej praca nie wiem.
Na imię było jej Berta /nazwiska nie pamiętam/. Miała również wybitnie przystojnego brata, który był adwokatem. Tworzyli tak piękną parę, że idąc ulicą wzbudzali podziw wśród ludzi, którzy się za nimi oglądali. Dochodziły pogłoski, że gebuetskomisarz zapewniał ją, iż w razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa, ona pierwsza będzie wiedziała o tym. Jak się później okazało, potrzebna mu była dla niego i Niemców kontrybucji w postaci drogich kamieni, brylantów, platyny i złota. Być może, że przedłużyło to nieco wegetecję żydów. Ale kiedy przyszedł czas likwidacji 13 i 15 października piękna Berta była u gebitskomisarza i spokojna wróciła do getta, a już do godz. 22.00 o północy Niemcy rozpoczęli likwidację jego i sama także musiała podzielić los innych. Ja pracowałam wtedy jako łączniczka w V-tym oddziale łączności, gdzie szefem była moja dawna profesor polonistyki pani Jadwiga Ostaniewicz, pseudonim "Irena". Przez nią zostałam zaprzysiężona i otrzymałam ps."Czyżyk". Wielką pomocą w tym czasie było dla mnie dziecko i głęboki wózek-karetą. Matka moja ps."Ryba" miała za zadanie kupować wszelkiego rodzaju mundury polskie, rosyjskie, niemieckie, pasy, buty, czapki, hełmy i oczywiście na pierwszym planie broń amunicję i wszelki materiał wybuchowy. Wszystko wtedy miało rację bytu i było potrzebne. Część tego sprzętu przechowuję u siebie na ul. Cichej, który dowoziłam w wózku pod dzieckiem. Nie było to łatwe, gdyż musiałam się kryć z tym nie tylko przed Niemcami i innymi osobami, ale i przed własnymi teściami, którzy skłonni byliby mnie wyrzucić z domu, mając już dość nieszczęścia ze śmiercią syna.
Na wszelkie zakupy, jakich dokonywała moja matka pieniądze dostarczały nam różne osoby. Pochodziły one podobno ze zrzutów z Anglii w dolarach, lecz my otrzymywaliśmy je już w markach niemieckich.

Pamiętam, że kiedyś pieniądze przyniosła "Dziunia" Snopkówna. Znałyśmy się z lat szkolnych.
Różne przedmioty zakupywane przez matkę moją, o których wcześniej wspomniałam odbierane były przez Jura, którego kilka razy wyprowadzałam za miasto, wywożąc sprzęt w głębokim wózku pod dzieckiem. Bezpośrednio z mieszkania mojej matki odbierał także różne przedmioty Bolesław Łopian ps."Wilk". Pracowało nas wiele osób, ale osobiście bardzo mało się znaliśmy. Dzisiaj po 30 latach śmiem stwierdzić, że siatka łączności była tak wspaniale zorganizowana, że wszystko to działo się w otoczeniu Niemców, którzy byli zupełnie zdezorientowani, gdyż ci, którzy współpracowali ze sobą również nie znali się wzajemnie.
Porozumiewaliśmy się ze sobą za pomocą pseudonimów,haseł,szyfrów i kluczami do rozwiązywania ich.
Miałam wtedy kontakty z panią Zofią Suszyńską, Zofią Stefańską, Marysią Jabłońską, Bolą Pietkiewicz, Stanisławem Zawadzkim, który był kierownikiem młyna i za jego pośrednictwem dostawaliśmy mąkę, różnego rodzaju kasze i inne artykuły, które roznosiliśmy najbardziej potrzebującym osobom, znajdującym się w ciężkich warunkach materialnych. Współpracował z nami również Stanisław Szponar ps."Pogrzebacz" "Jur" prowadził działalność organizacyjną oddziału partyzanckiego z ramienia ZWZ-AK na terenach Brześć-Żabinka-Kobryń. Zakładał sieć pocztową, kurierską, bazy przerzutowe. Sumy pieniężne,jakimi dysponowaliśmy były zbyt szczupłe, aby wystarczały na potrzeby związane z działalnością organizacyjną oddziałów partyzanckich. Jako przykład pamiętam fakt, jaki miał miejsce na wiosnę 1943r. kiedy przeniesiono do naszego mieszkania dużego zabitego wieprza w celu rozsprzedania, co też uczyniłyśmy szybko z matką. Za otrzymane pieniądze - za całą sumę zakupiłam parę rowerów, lekarstwa, bandaże, opatrunki, latarki, karbid, żyletki, zapalniczki i inne niezbędne w tym czasie przedmioty. Byłam zawsze pełna podziwu dla "Jura" - bardzo dzielnego zapaleńca jak go nazywała moja matka. W czasie krótkich pobytów w mieście, kiedy zatrzymywał się u nas - zawsze odczuwaliśmy w nim jakiś niepokój. Był bardzo porywczy, impulsywny.
Posiadał bardzo wiele inicjatywy. Zorganizował na własną rękę bazę kontaktowo-przerzutową aż od Brześcia do Horodca. Warunki w jakich pracował zmuszały go do działalności na własną rękę, gdyż zdarzały się tak różne okoliczności i sprzeczne rozkazy, że dochodziło do dezkonspiracji w mieście. Główne centrum organizacji mieściło się w Brześciu. Komendantem był "Żuk" /Dobrski/. W naszym mieszkaniu

na schronienie w czasie swoich pobytów w mieście "Jur - Wrzos"? Dość często przebywa Grzegorz Horeglad ps."Puszczyk", szef kwatermistrzostwa IV Oddziału, oraz Zbigniew Garczyńska - zrzutek z Anglii? Wybitnie piękny i przystojny mężczyzna, który bardzo dużo pisze i wysyła, ale co było tematem nie wiem? Czasem odbywały się małe narady w pokoju mego brata? "Irena" zawiadamiała nas wcześniej o tym. Kamienica, w której mieszkaliśmy była bardzo odpowiednim punktem do tego? Dwa wejścia i wyjścia, jedno na ulicę Batorego, drugie na Sadową? Ponadto duże podwórko, z którego można było zrobić uskok w zdewastowany budynek pożydowski, straszący pustymi otworami okiennymi. Nawprost mieszkanie dozorcy Ludwika, nazwiska nie pamiętam i pralnia, skąd przez ogródek mocno zasielenicmy można było wyjść na drugą ulicę. Kilkuga-kamarkowa ubikacja przy komórkach służyła czasem także za schronienie uciekinierom. Pamiętam jak kiedyś Niemcy szukali Grochowskiego lub Grochalskiego, ten ostatni był komendantem/zastępcą/ "Wachlarza"? Godz.7 rano dwóch Niemców wchodzi do naszego mieszkania na parterze i wołają Grochowski czy też Grochalski. Każdy z nich inaczej to nazwisko wymawia. Nocowałam wówczas u matki swojej, paliłam tego dnia piece. Przedpokój ciemny, oświetlony żarem od paleniska, zerwałam się otworzyłam drzwi do kuchni, zapaliłam światło. Niemcy poszli za mną. Dopytując się o w/w nazwisko. Ja zaprzeczam i twierdzę, że tu taki nie mieszkał i nie mieszka? Oni patrzą na mnie? Dostrzegają mój strój. Robią jakieś uwagi, jest to prawdopodobnie aluzja do mojej nocnej koszuli, długiej do kostek, której dużo widać spod krótkiego szlafroka matki? Serce mi drży ze strachu, bo w pokoju brata, który już poszedł do pracy jest dwóch ukrywających się mężczyzn. Jeden z nich to "Puszczyk", drugiego nie pamiętam. Klucz od tego pokoju był w drzwiach od strony zewnętrznej czyli przedpokoju, w którym światło nie było zapalone. Nie pamiętam czy był przekręcony, co uniemożliwiałoby ich ucieczkę, gdyż pokój ten był tak usytuowany, że Niemcy idąc za mną drzwi od tamtego pokoju minęli, nie widząc ich weszli do oświetlonej kuchni, którą zamknęłam , mając ciągle na myśli ucieczkę tych dwóch.

Darzę Niemców uśmiechem jak sacharyną, a umysł wysilam jak się ich pozbyć i nagle słyszę za ścianą głośny płacz mojego dziecka i ze słowami kinder,kinder wybiegam do pokoju, oni za mną.

Śpiące do tej pory dziecko leżało w rozkopanym nóżkami beciku, obficie opaskudzone zawartością żołądeczka po nocy. Chwyciłam córkę specjalnie tak, aby pokazać brudną pupkę, niosąc do kuchni. Oni idą za mną, bardzo głośno się śmieją, wykrzywiają twarze i satykając nosy ze słowami sztynk, sztynk opuszczają nasze mieszkanie?

Mój szef łączności pani Ostaniewicz ps"Irena" posiada niebywały talent do fabrykowania dowodów osobistych . Posiadając potrzebne druki, pieczątki, fantastycznie podrabia podpisy i rozprowadzamy je wśród ludzi z walki zbrojnej.
Pamiętam, że krzesła w mieszkaniu pani doktorowej Ostaniewicz, matki "Ireny" miały podwójne siedzenia.
Z nich zawsze coś wybierały do przemycania dalej. Pamiętam jak kiedyś późnym wieczorem będąc u "Ireny" zastałam ją niezwykle zdenerwowaną. Zlecając mi coś wyciągnęła z podwójnego dna fotela,stojącego zawsze przy jej biurku mały rewolwer i powiedziała "ach" w razie czego to pozbawię się życia, a nie dopuszczę do tego. Jeżeli się nie mylę to było po aresztowaniu Marysi Jabłońskiej,Beli Pietkiewicz i innych. Kiedyś szłam do teściów ze swego mieszkania z wózkiem i rocznym dzieckiem siedzącym w nim. W nóżkach dziecka leżał świeży, gorący chleb, a pod dzieckiem ciężki ładunek żelazny to granaty i rewolwery. Na przejeździe Kijówka muszę przeprowadzić wózek przez kilka torów kolejowych. Ciężki wózek silnie popycham nogą od spodu przy przeprowadzaniu przez szyny. Coś jednak nie wytrzymało, naciskam i tylne koła razem z oską oderwały się. Chcę jak najmniej zwrócić uwagi na siebie, unoszę wyżej rączkę wózka pchając silnie do przodu a oskę z kółkami popycham nogą. Nagle o zgrozo dwóch Niemców dostrzegli co się stało i spieszą mi z pomocą. Dziecko wesoło śmieje się. Oni coś na migi pokazują usiłując wziąć rączkę wózka, aby mi pomóc go pchać. Bronię się, dziękuję czerwona jak burak unoszę wyżej sama tył wózka, aby nie zdradzić ciężaru, pozwalam wyjąć spod wózka oskę z kołami i położyłam na wózku nad chlebem i korzystając z tego że szli w tą samą stronę co ja zawróciłam z powrotem do domu. Wózek pchałam przed sobą na przednich kołach, był on wtedy lekki, gdyż śmiertelny strach pozbawił ciężaru tego ładunku. Niemcy widząc, że radzę sobie sami poszli dalej w swoim kierunku.
Na jesieni 1943 dostałam funkcję kasjera z ramienia kwatermistrzostwa IV oddziału. Pieniądze przychodziły w markach powiązane w paczkach. Wymieniałyśmy je z matką na karbowańce i wypłacałam upoważnionym osobom. Pieniądze trzymałam w dużej puszce po wojskowych keksach, razem z innymi dokumentami i rozliczeniami. Na noc wynosiłam je do komórki, lokując w schowku opisanym na początku niniejszej relacji.

Dość częste kontakty ma z nami Bolek Łopian ps."Wilk". Łopian często przebywa w towarzystwie mojego brata Henryka. Ja mam pretensje o to do brata, tak jakbym coś przeczuwała złego. Ciągle się niepokoję widząc go w naszym mieszkaniu. W tym czasie przeniosłam się od teściów do swojej matki na stałe.

Jesień 1943 r. przynosi zmiany na froncie wschodnim. Niemcy ponoszą klęski, a tym samym gromadzą większe siły. My podnoszeni na duchu ich niepowodzeniami pracujemy coraz bardziej zapalczywie, żyjemy nadzieją wolności. Na początku grudnia 43 r. Bolek Łopian ps."Wilk" prosi o pożyczenie mu 20 tys. karbowańców na okres 2-ch tygodni. Być może że wiedział o tym, że ja prowadzę kasę oddziału kwatermistrzostwa, bo o pożyczkę zwrócił się do mnie przez mojego młodszego brata Henryka.

Ponieważ ja dysponowałam pieniędzmi służbowymi nie mogłam mu udzielić pożyczki prywatnej, więc pieniądze te pożyczył od mojej matki. Od tej chwili Łopian zaczął unikać nas wszystkich. O zwrot pieniędzy upominałam się kilkakrotnie, widząc go na ulicy, lecz bezskutecznie.

W związku z powyższym zwróciłam się do "Ireny" jako do szefa łączności której pomoc okazała się skuteczna, bo pieniądze zostały nam zwrócone wprawdzie po 4 miesiącach, ale na interwencję "Ireny" w przeciągu 1-go tygodnia. Zwrot tych pieniędzy był dla nas zaszczęściem, gdyż od tej chwili Łopian stał się naszym wrogiem.

Sądziliśmy, że powodów nie miał. Przed otrzymaniem gotówki proponował zastaw, a w razie niewywiązania się z terminu spłaty sprzedaż swojego zimowego palta na futrze. Byliśmy Polakami. To był nasz człowiek z organizacji. Nie można go było pozbawiać w czasie zimy ciepłego okrycia. Ponadto kawaler, wzrostu więcej niż wysokiego, łatwo mógł się futra pozbyć, ale z nabyciem drugiego napewno miałby bardzo duże trudności.

Przy końcu roku 1973 na kwaterze przebywa u nas Zbigniew Garczyński i "Puszczyk". Często ktoś ich odwiedza oczywiście w sprawach organizacyjnych.

Któregoś ranka wpadli Niemcy do kamienicy, zaczęli penetrować mieszkania od parteru.

W przedpokoju naszym ciemno /oszczędność światła/, ale na wprost wejścia oświetlona kuchnia, pakują się tam. Pytają o kogoś /nie pamiętam nazwiska/.

Tuż przy kuchni drzwi do mamusi pokoju. Wchodzą tam, ja za nimi. Trudno mi opisać co czułam, bo w sąsiednim pokoju brata konferuje trzech mężczyzn i są zamknięci przeze mnie na klucz. Dziecko śpi w wózku, pytają czy moje. Kiwam głową potwierdzająco. Coś szwargocą głośną

Potrącili wózek. Dziecko obudziło się i płacze. Niemcy wychodzą. Biorą małą na ręce i jestem w przedpokoju, który rozjaśnił się, bo w sąsiednim pokoju, o który tak się bałam są szeroko otwarte drzwi. Przez chwilę zamarłam w bezruchu. Byłam pewna, że ten pierwszy Niemiec otworzył je. Obeszli pokój i wyszli z niego. W przedpokoju były podwójne drzwi wejściowe. Wewnętrzne otwarte, następne pchnęli nogą i wyszli na korytarz. W pokoju nie było nikogo. Jestem zdumiona a jednocześnie odczuwam wielką ulgę. Chcę zamknąć drzwi, ale sprawia mi to trudność. Drzwi kurczowo przytrzymywał blady jak ściana, wciśnięty w kąt Garczyński. Ten prymitywny schowek, utworzony przez dwoje rozwartych drzwi uratował mu wtedy życie. Gdzie są tamci pytam. Uciekli - kto wam otworzył ? Pani Krychowska. Ta dzielna młoda kobieta miała wejście do swego mieszkania z naszego przedpokoju. Wiedziała o tym, że w pokoju naszym ukrywają się obcy ludzie. Słysząc przez cienkie drzwi głośne tupoty i szwargot Niemców, skorzystała z momentu kiedy Niemcy weszli do pokoju mamusi - otworzyła im drzwi od pokoju brata. "Puszczyk" i ten drugi "Wiesław" błyskawicznie uciekli. Garczyński już nie zdążył i przycisnął się otwartymi drzwiami tworząc zamknięty kąt. "Puszczyk" wybiegł w letnim ubraniu tylko i schował się do ustępów. Po czterech godzinach przeszedł do pustego mieszkania pożydowskiego i tam przesiedział do zmroku. Skostniały z zimna do mieszkania wrócił, gdy już było ciemno. Po tym wypadku Garczyńskiego przeniesiono do innej kwatery, a "Puszczyka" ulokowano u pp. Zawadzkich, których syn Stanisław kier. młyna współpracował z nami. Ostatni raz widziałam Garczyńskiego w lutym 1944r. Był zmieniony nie do poznania. Okazało się, że był mocno przeziębiony i tworzące się na wrzody na szyji, za poradą swojej gospodyni rozpędzał zimnymi okładami. Na skutek czego niewydalona ropa z organizmu umiejscowiła się w dziąsłach pod zębami, a nie znajdując ujścia wytworzył się ropień w gardle i pomimo pomocy lekarskiej w szpitalu w krótkim czasie zmarł. Pochowany został na cmentarzu w Brześciu przy ul.9-go Lutego pod nazwiskiem Herman Zbigniew.

Wielkanoc 11-12 kwietnia 1944r. /pamiętam datę - moje urodziny/. Szłam z bratem i dzieckiem drepczącym przy wózku. Raptem mała skręca w prawo i woła peś,peś. Poszłam za dzieckiem i spotkałam się z przenikliwym wzrokiem prokuratora miasta Brześcia, stojącego w otoczeniu innych oficerów, a przy ich nogach duży wilczur. Oblał mnie zimny pot, wzięłam dziecko, wsadziłam do wózka i odjechałam. Niepokój mnie ogarnął. Matka chciała mnie i brata wysłać za Bug do rodziny, ale ja nie miałam zarządzenia od swoich władz, zabraniające wyjeżdżania gdziekolwiek na własną rękę. Około 20 kwietnia 44 r. przyjechały 2 furmanki i party-

zanci przebrani w mundury niemieckie. W ciągu 1-ej godziny załadowano część najbardziej potrzebnych rzeczy, pościeli i ubrania i wywieziono mnie 16 km. na Brześć do Skoków. Tak brzmiał rozkaz, ale ulokowana zostałam na kolonii Wistycze w jednej z klas budynku szkolnego, gdzie kierownikiem był pan Stanisław Trzeciak.

Po pięciu dniach przyjechałam rowerem do Brześcia w celu zakupienia 2-ch rowerów dla partyzantów na targu. Z braku ich nie mogłam dokonać zakupu. Od "Ireny" otrzymałam w tym dniu 17 dowodów osobistych dla partyzantów, sfabrykowanych przez nią. Przyszłam do matki, torbę kopertówkę z pieniędzmi i dokumentami pod odprutó podszewkę położyłam na puchowej pierzynie, która pod ciężarem ugięła się, zakrywając torbę. Po zjedzeniu obiadu, nie widząc tej torby - byłam pewną, że jest w teczce przy rowerze / bo tam miałam ją zamiar schować/, odjechałam do Wistycz, gdzie na dowody czekało 2-ch ludzi. Po stwierdzeniu braku pieniędzy i dowodów chciałam wrócić do Brześcia, ale ze względu na późną porę państwo Trzeciakowie nie pozwolili mi. Następnego dnia rano o godz.6,oo siedziałam już w samochodzie niemieckim razem z innymi nauczycielkami. Wiozłyśmy wszystkie puszki z biało czerwonymi opaskami powstańczymi, na których widniały 2 litery "WP", co miało oznaczać Wojsko Polskie. W samochodzie tym siedziałyśmy około 2 godzin, a później przyszedł Niemiec i wyrzucił nas twierdząc, że wojsko jedzie na front i nikt nie może nim jechać.Z płaczem wróciłam do państwa Trzeciaków, który kazał starszemu synowi pompować rower dla mnie. W tym czasie przyjechała "Stasia" na rowerze z Brześcia, ostrzegając mnie, że matka moja została aresztowana wczoraj wieczorem i nie wolno mi jechać do domu, gdyż jest on obstawiony szpiclami. Przyjechałyśmy obydwie do Brześcia i na przedmieściu rozstałyśmy się.

Przeprowadzając rower przez tory kolejowe zobaczyłam szpicla idącego naprzeciwko mnie. Znałam go z widzenia. Wszyscy o nim mówili, że stale przesiadywał w lokalu Kisiela, gdzie przebywali tylko Niemcy i ludzie będący na ich usługach. Aby nie spotkać się z nim oko w oko schyliłam się udając zawiązywanie bucika. Kiedy podniosłam głowę już mnie mijał. Siadłam na rower, nacisnęłam pedały, a gdy się obejrzałam, stwierdziła że zawrócił za mną do miasta. Jechałam ile sił starczyło w nogach, dox wojenki, która na usilne moje prośmy wzięła jakieś buty potrzbujące naprawy i udała się do naszych sąsiadów państwa Trojanowskich. Pan Stanisław Trojanowski był bardzo dobrym rzemieślnikiem branży szewskie Wróciła z panią Trojanowską, która oddała mi torbę z dokumentami i pieniędzmi oddzielnie zapakowane te 36 tys. karbowańców. Po moim wyjściu z domu dnia poprzedniego mamusia czekała na brata, który tego dnia od godz.7,oo nie był w domu. Umówieni byliśmy tak, że każdego dnia choć

na bardzo krótką chwilę pokazywał się w domu. Matka moja nie mogąc już nerwowo wytrzymać około godz.16,oo wyszła z domu. Przechodząc ulicą Sadową usłyszała od kochanki gestapowca, stojącej przy furtce swego ogródka:"Patrzcie powiedzieli, że Sztorcowa aresztowana, a to ona przecież idzie". Matka moja o słabym wzroku, ale wspaniałym słuchu odpowiedziała. Mnie jeszcze nie! a syna to chyba już zjedliście mi". Szybko wróciła do mieszkania i zrobiła czystkę. Usunęła wszystko co mogło budzić podejrzenie u Niemców. Znalazła torbę pozostawioną właśnie przeze mnie na łóżku. Pieniądze zaniosła do pani Krychowskiej, a torbę z dokumentami do pani Trojanowskiej.
Państwo Trojanowscy wiedzieli o naszej działalności. Wiele przedmiotów przechowywało się u nich na krótko. Bardzo solidną pod każdym względem rodzinę tą cechował wielki patriotyzm. O godz. 20,oo przyszło gestapo i szukali Helena,Helena Filemonowicz.
Dokonali dokładnej rewizji w naszym mieszkaniu, poprzewracali wszystko oraz pobieżniej w mieszkaniu pp.Krychowskich. Matkę parę razy uderzono w twarz nie wierząc temu, że nie wiedziała gdzie jestem. Nie mogąc się dowiedzieć nic o mnie aresztowali matkę. Mamusia przeczuwając już aresztowanie brata mego Henryka w ostatniej chwili wzięła bochenek chleba z myślą, że to będzie dla niego. Chleb ten w brutalny sposób został wytrącony karabinem z pod pachy.
Zamknęli mieszkanie na klucz i poszli. O tym wszystkim dowiedziałam się od p.Marii Trojanowskiej, której zostało to przekazane przez naocznego świadka - p.Zofię Krychowską. Wróciłam do Wistycz, przekazałam 17 dowodów osobistych i pieniądze. Całą noc likwidowałam wszystko co mogłoby Niemców naprowadzić na ślad i pakowałam się, trochę pościeli w worek i dwie walizki.
O godz. 3,oo nad ranem z "Puszczykiem" i Trzeciakiem wykopaliśmy dół w ogrodzie i zakopaliśmy wszystko, co.było związane z pracą konspiracyjną. Rano o godz.6,oo wyjechałam furmanką do Brześcia, zatrzymując się u Zawadzkich. Z 30 kwietnia na 1 maja 44r. w nocy w czasie bombardowania Brześcia akowcy wyprowadzili mnie z dzieckiem na bocznicę kolejową Brześć-Twierdza, wsadzili do wagonu towarowego i jeszcze z innymi osobami w skład których wchodził Horeglad/"Puszczyk"/ oraz komendax partyzantki /nazwiska nie pamiętam/ - przejechaliśmy granicę na Bugu i zatrzymaliśmy się w Małaszewiczach, gdzie nastąpił 8 godz.postój. Na sąsiednich torach stały transporty z młodzieżą wywożoną do Niemiec na roboty. Wokół pociągu towarowego, w którym siedzieliśmy słychać było eskortujących Niemców, Po zorientowaniu się, że przejechaliśmy granicę staraliśmy się gdziekolwiek wysiąść. Sprawiało nam to bardzo wiele trudności, bo nie mogliśmy wysiadać w czasie biegu pociągu, a na po-

stojach zawsze było dużo Niemców. Jechaliśmy przecież w niemieckim transporcie towarowym o czym oni nie wiedzieli. Najdłużej pociąg zatrzymał się w Łukowie, lecz mowy nie mogło być o tym, aby można było wagon otworzyć. Wszędzie pełno Niemców. Ile ja przeżyłam tam z powodu dziecka wie tylko Bóg i ci, którzy ze mną jechali, jeżeli nadmienię, że: Kiedy pociąg był w biegu to dziecko 22 m-czne spało. Jak pociąg się zatrzymał to ona albo płakała, albo chciała pić, jeść, siusiu albo jeszcze więcej, a przecież musieliśmy się zachowywać bardzo cicho, aby nie zradzić się Niemcom o czym dziecko przecież nie wiedziało. Około 3 km za Łukowem w polu na zakręcie pociąg zwolnił bieg. My korzystając z tego zaczęliśmy wyrzucać rzeczy i wyskakiwać. Mężczyznom się to udało. Ja z dzieckiem nie mogłam. Obsługa parowozu zatrzymała pociąg i przybiegli do nas z krzykiem i pretensjami żądając pieniędzy. Każdy z nas wysupłał co miał. Do stacji dowiózł nas chłop, który orał pole. Z matką spotkałam się w tym roku przy końcu lipca w Rembertowie u rodziny. Od mamusi dowiedziałam się wtedy, że brat mój nie żyje, a aresztowany został w tym dniu rano, w którym mamusia wieczorem. Tego krytycznego nia była łapanka na ulicach. Niemcy szukali komendanta - partyzantki Gontarza Vzesława z Równego. W tym czasie Niemcy przebudowali żydowską bożnicę na biura. Roboty te dozorował mój brat jako technik budowlany. Kiedy wyjechał z bramy na ulicę zobaczył go Łopian Bolek ps."Wilk", stojący wśród Niemców i krzyknął partyzant, wskazując na brata. Niemcy natychmiast podskoczyli, skuli go i wsadzili do samochodu. W więzieniu matka raz jeden zetknęła się z bratem na krótki moment. Ucałował ręce mamusi i powiedział "Oddali ani słowa, ona ma dziecko". W dniu 29 czerwca 44r. wraz z wieloma innymi został rozstrzelany na fortach za Brześciem. W dniu 22 lipca Niemcy ewakuowali więzienie i mieszkańców miasta. Matka w czasie transportu Jędrzejów-Sędziszów zdołała uciec. Moja działalność organizacyjna zakończyła się w dniu 1 maja 1944 r.

Lublin, luty 1974 r.

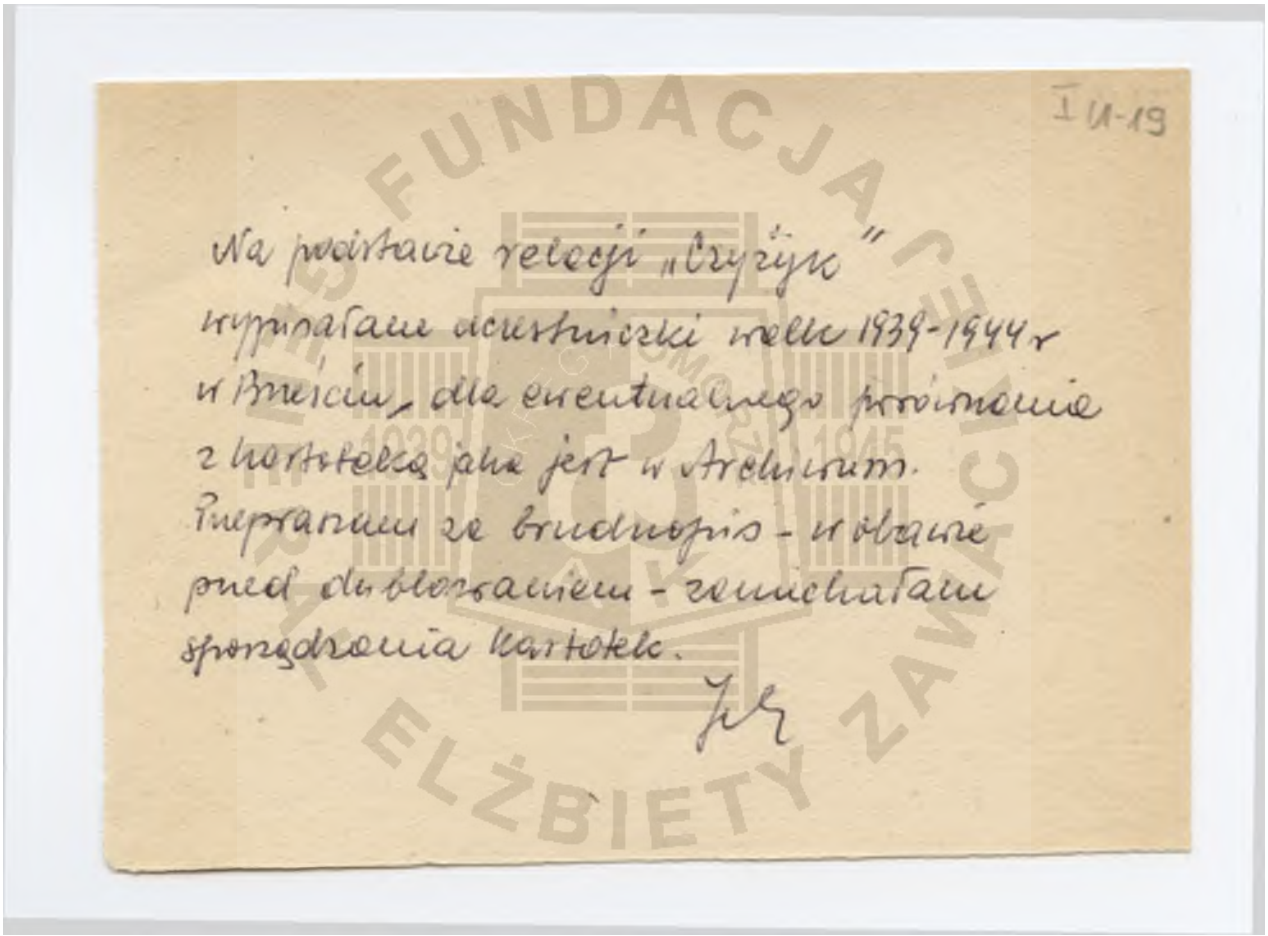

I 11-19

Na podstawie relacji „Czyżyk"
wypisałam uczestniczki walk 1939-1944 r
w Brześciu, dla ewentualnego porównania
z kartoteką jaka jest w Archiwum.
Przepraszam za brudnopis - w obawie
przed dublowaniem - zaniechałam
sporządzenia kartotek.

[illegible]

FUNDACJA GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ
1939 1945

V. Wypisy ze źródeł

T. 3319 /WSK
FIEMONOWICZ Helena
z d. Szłapa

FUNDACJA GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ
OKRĘG POMORZE
1939 AK 1945

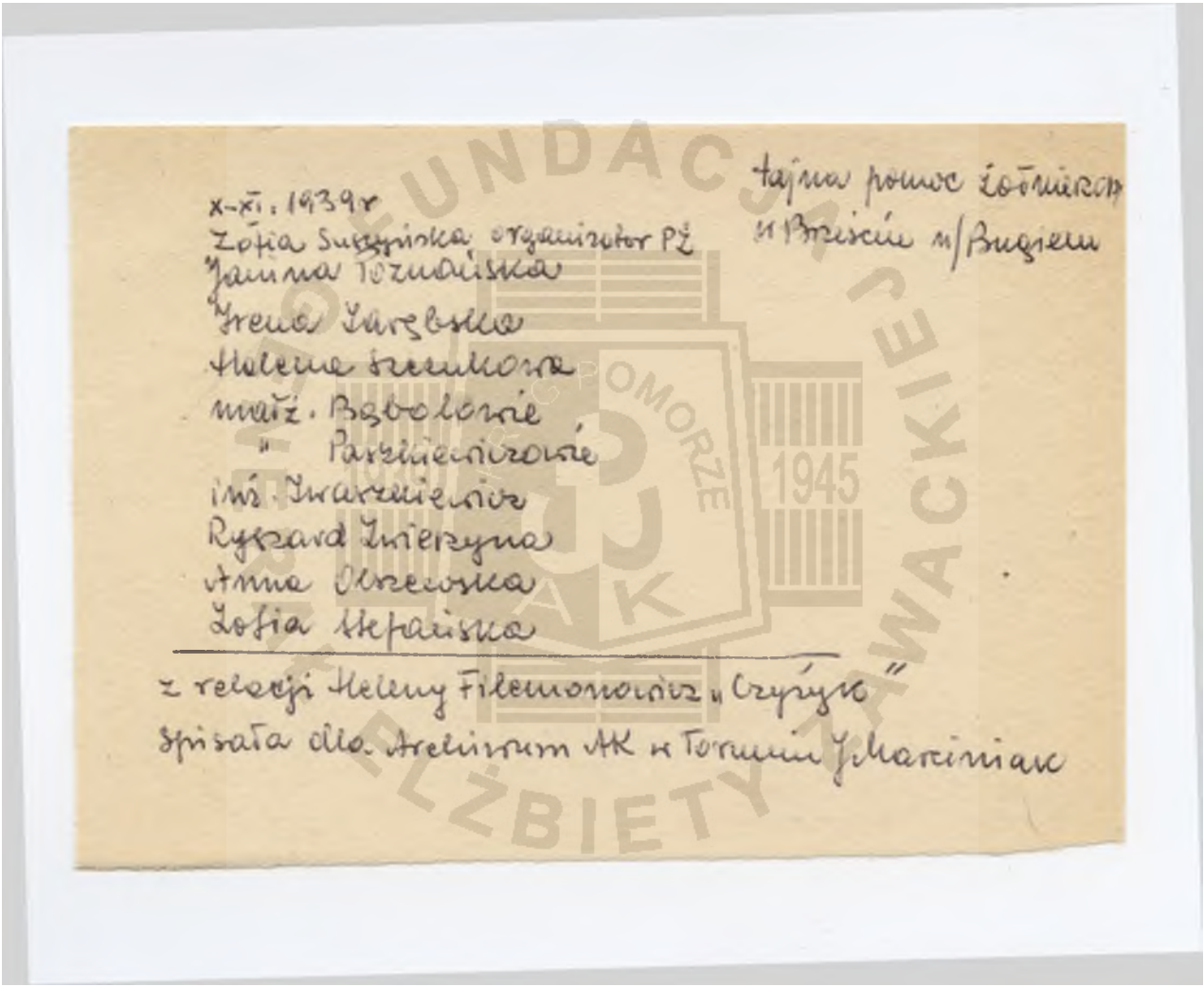

tajna pomoc żołnierzom
w Brześciu n/Bugiem

X-XI. 1939 r
Zofia Suszyńska organizator PŻ
Janina Toznańska
Irena Zarębska
Helena Szczukowa
małż. Bąbolowie
" Paszkiewiczowie
inż. Iwaszkiewicz
Ryszard Zwierzyna
Anna Olszewska
Zofia Stefańska

---

z relacji Heleny Filemonowicz „Czyżyk"
spisała dla Archiwum AK w Toruniu J. Marciniak

FUNDACJA GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ
POMORZE 1945 AK

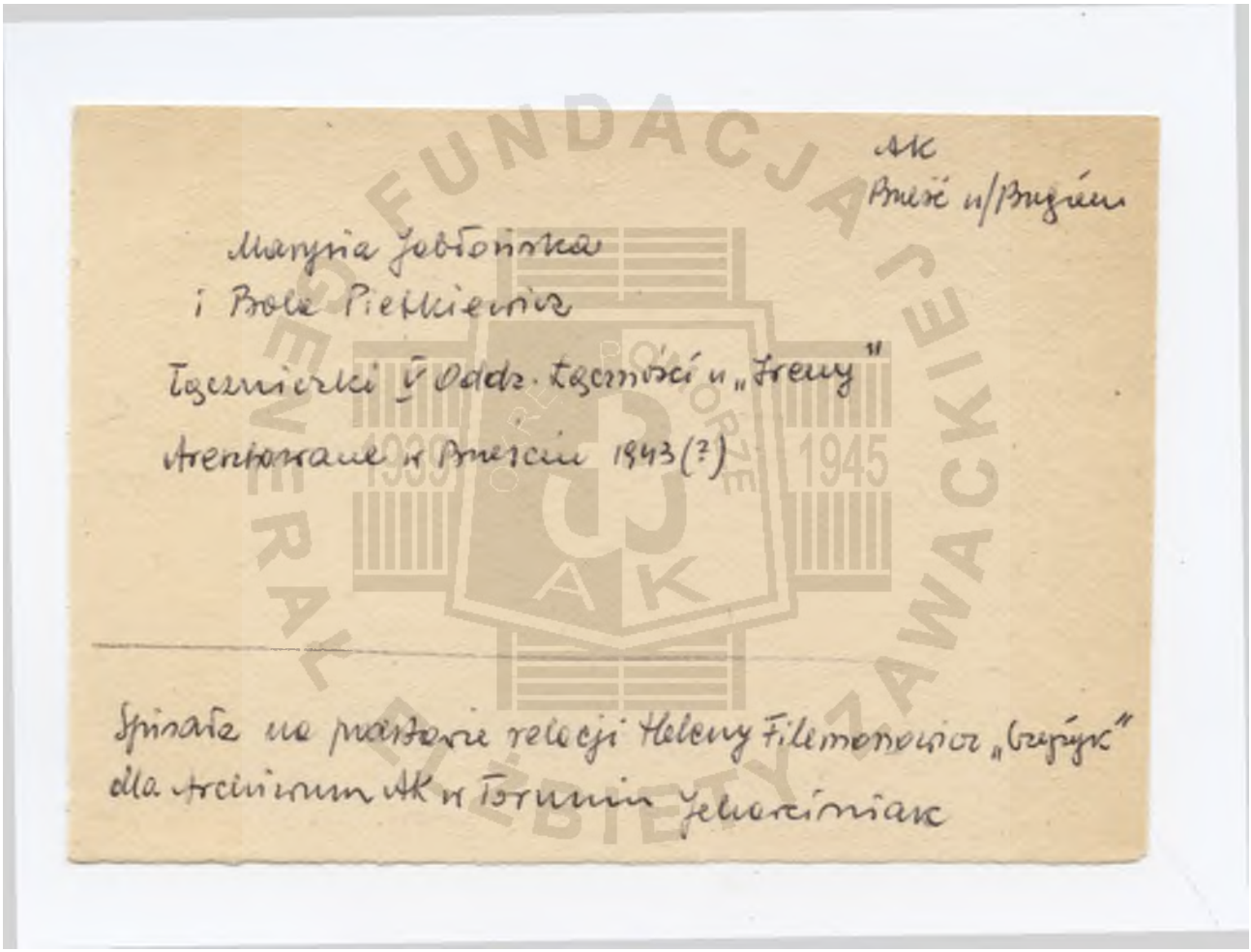
AK
Brześć n/Bugiem

Maryna Jabłonska
i Bolek Pietkiewicz

Łączniczki I Oddz. Łączności „Freny"

Aresztowane w Brześciu 1943(?)

Spisane na podstawie relacji Heleny Filemonowicz „Czajki"
dla Archiwum AK w Toruniu Jeleniniak

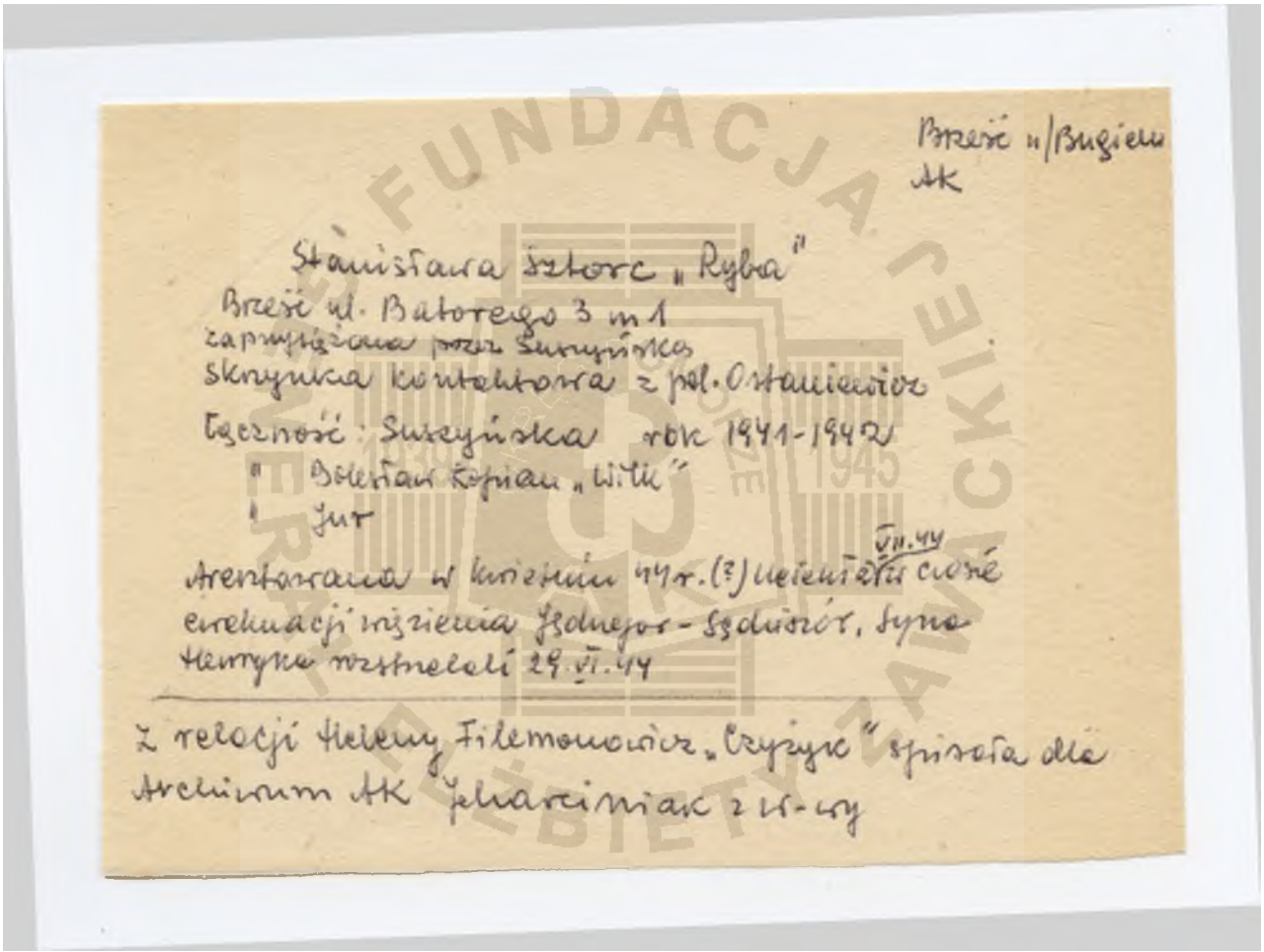

Brześć n/Bugiem
AK

Stanisława Sztorc „Ryba"
Brześć ul. Batorego 3 m 1
zaprzysiężona przez Suszyńską
skrzynka kontaktowa z pol. Ostaniewicz
Łączność: Suszyńska rok 1941-1942
" Bolesław Kopian „Wilk"
" Jur

Aresztowana w kwietniu 44 r. (?) uciekła VII.44 w czasie
ewakuacji więzienia Jędrzejów - Sędziszów, syna
Henryka rozstrzelali 29.VI.44

Z relacji Heleny Filemonowicz „Czyżyk" spisała dla
Archiwum AK Jeharciniak z W-wy

FUNDACJA GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ

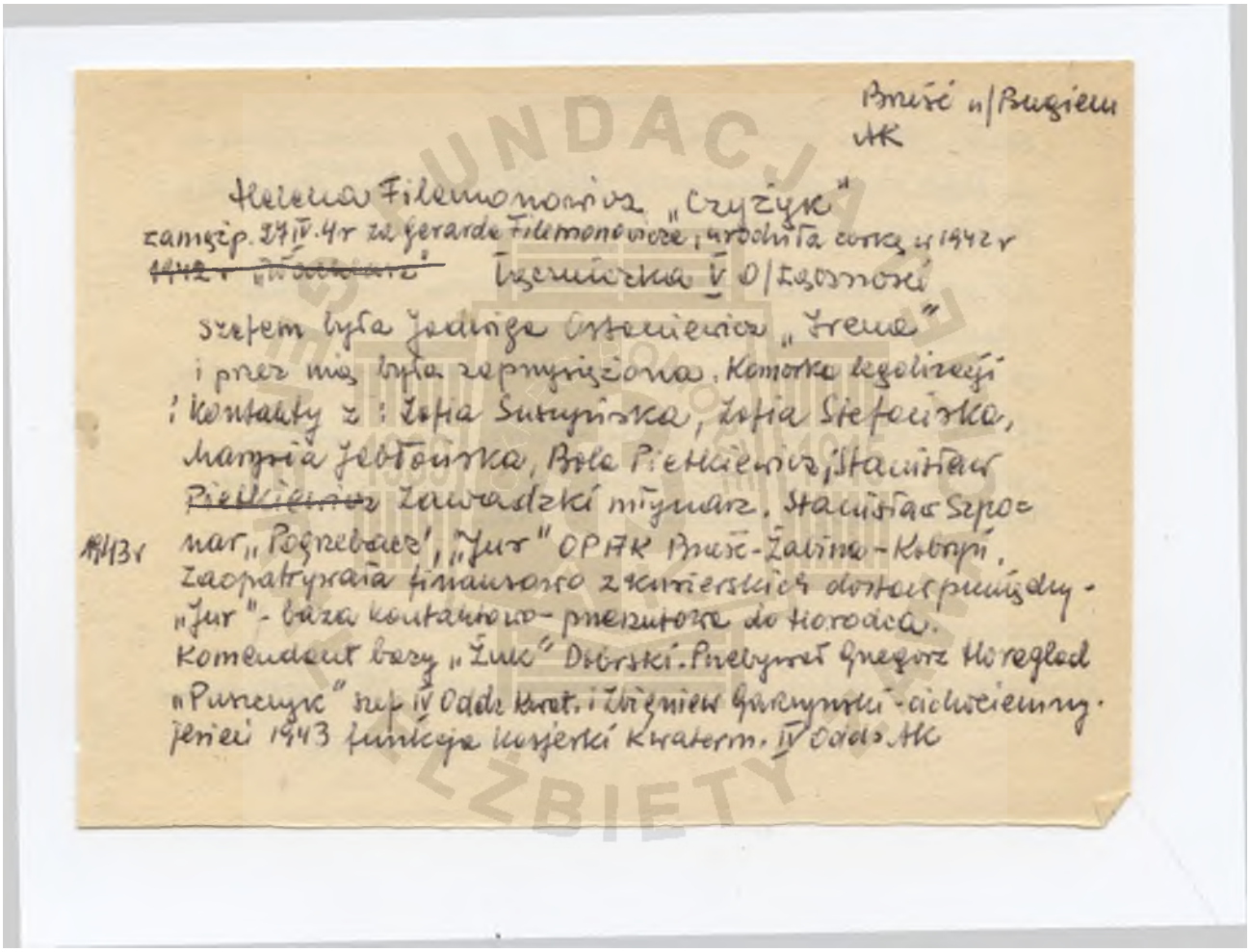

Brześć n/Bugiem
AK

Helena Filemonowicz „Czyżyk"
zamężp. 27.IV.4r za Gerarda Filemonowicza, urodziła córkę w 1942 r
~~1942 r „Wachlarz"~~ Łączniczka V O/Łączności
szefem była Jadwiga Ostaniewicz „Irena"
i przez nią była zaprzysiężona. Komórka legalizacji
i kontakty z: Zofia Suszyńska, Zofia Stefańska,
Marysia Jabłońska, Bola Pietkiewicz, Stanisław
~~Pietkiewicz~~ Zawadzki młynarz. Stanisław Szpo-
1943 r nar „Pogrzebacz", „Jur" OPAK Brześć-Żabina-Kobryń.
Zaopatrywała finansowo z kurierskich dostaw pieniędzy -
„Jur" - baza kontaktowo-przerzutowa do Horodca.
Komendant bazy „Żuk" Dobrski. Przebywał Grzegorz Horeglad
„Puszczyk" szef IV Oddz. Kwat. i Zbigniew Garczyński - cichociemny.
Jesień 1943 funkcja kasjerki Kwaterm. IV Oddz. AK

FUNDACJA GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ

20.IV.1944 r ~~zabrana~~ przeniesiona rozkazem OP z obawy przed aresztowaniem do Oddz. Part. do Skokowa; ~~[illegible]~~ kol. Wiktycze w domu Stanisława Trzeciaka zamieszkała. Łączność z Brześciem.

1.V.44 r rozkazem OP z „Puszczykiem" i innymi przerzucona za granicę Bugu przez Małaszowice do Łukowa i zakończyła działalność konspiracyjną

29.VI.44 brat Henryk został rozstrzelany. Matka uciekła z transportu więziennego Jędrzejów-Sędziszów. Mąż rozstrzelany w więzieniu w Równem 28.X.1942 r

---

Spisała z relacji w/w dla Archiwum AK w Toruniu

Jehaciniak

FUNDACJA GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ
1939 1945
AK

FILEMONOWICZ Helena

FUNDACJA GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ
OKRĘG POMORZE
1939
1945
AK